

Władysław J.H. Kunicki-Goldfinger (1916-1995)

Sylwetka nauczyciela, mistrza i naukowca

Władysława Kunickiego-Goldfingera poznałem dawno. Było to w roku 1952 w Lublinie. Organizował wówczas swą pierwszą Katedrę Mikrobiologii na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Bieda wówczas panowała w pracowniach badawczych - bieda materialna, ale także brak wyszkolonych kadr, przede wszystkim asystenckich, bardzo źle do studiów przygotowana młodzież studencka, zniewolenie umysłów, między innymi przez łysenkizm. Ten ostatni jak rak toczył odradzającą się po wojnie tkankę polskiej biologii. Po katedrze w Lublinie, Kunicki-Goldfinger zorganizował jeszcze dwie inne katedry mikrobiologii - na uniwersytetach we Wrocławiu i w Warszawie. Wyszukiwał w tej dziedzinie setki uczniów i wielu kontynuatorów jego dzieła. Tworzył żywe ośrodki badawcze i dydaktyczne, nadawał im program i ruch. Zarażał ludzi, zwłaszcza młodzież, swym zapałem i szerokim spojrzeniem na naukę i życie, także społeczne, obywatelskie, a nawet polityczne. Ja szedłem obok Profesora, najpierw jako jego student na specjalizacji mikrobiologicznej, potem jako asystent, aż do profesury - od Lublina, przez Wrocław do Warszawy. Tysiące dni, setki rozmów - był czas na poznanie tego niepospolitego człowieka. Widzę go dziś szczególnie wyraźnie i z bliska, gdy w ostatnim roku swego życia często odwiedzał mnie - swego także chorego ucznia. Widzę jego postać, gdy z najwyższym już trudem poruszał się, wsparty o ramię swej żony. Widzę jego ciepły uśmiech, słyszę trudny oddech. Próbował żyć normalnie, miał plany na przyszłość; może to już były mrzonki, ale jak bez nich można żyć? Żyjąc nie chciał uchodzić za martwego, nie umiał być niezauważanym. Z wyroków losu umierał długo, zapewne cierpiał. Ale starcem nigdy nie został.

Był postacią barwną - takich jak on nazywa się ludźmi Renesansu. Nosił w sobie także wiek XIX - z jego etosem pracy dla społeczeństwa, dodajmy, pracy bezinteresownej, służby wynagradzanej jedy-

nie satysfakcją i uznaniem zawsze wiemej mu gromadki osób bliskich. Już w Lublinie nazywaliśmy go Mistrzem. Profesorów mieliśmy wielu - mistrza jednego. Nie dostawał odznaczeń, a jeśli nawet proponowano mu je - nie przyjmował. Swoją wojaczkę w Armii Polskiej, w kompanii sanitarnej, na szlaku z Rosji, przez Bliski Wschód do Włoch rozpoczął ze stopniem szeregowca z cenzusem i nie awansował w hierarchii wojskowej. Był zbyt rogatą duszą, by nagradzać go medalami lub awansami. Wówczas, chyba raz w życiu, z własnego wyboru szedł w szarej masie żołnierskiej. Potem, gdy wojna się skończyła, pracował jeszcze w angielskim szpitalu wojskowym i w Palestyńskiej Kasie Chorych. Do kraju wrócił w roku 1947, do rodzinnego Lublina, na Uniwersytet, gdzie doktoryzował się, habilitował i został profesorem mikrobiologii. Wtedy spotkaliśmy Mistrza, gromadka studentów z różnych miast Polski, z różnych uniwersytetów. Przyjechalśmy, wybrańcy losu, by tam specjalizować się w mikrobiologii. Wówczas, pamiętam dobrze ten pierwszy dzień spotkania, Władysław Kunicki-Goldfinger zadziwił nas swym nieco nieprofesorskim wyglądem (miał długie włosy - a to w tamtych latach źle było widziane, jako symbol „zgniłej” zachodniej dekadencji, nosił duże wąsy, nie nosił natomiast krawata i mówił do nas „per ty”, a nie, jak to było we zwyczaju akademickim, „per pan” lub „pani”). Wkrótce mieliśmy się przekonać, że do najbliższych sobie uczniów i asystentów zwraca się „per wy”. To charakterystyczne: słuchajcie Zbyszku, przyjdźcie do mnie Macieju, pozostało do końca. A my zwracaliśmy się do niego niezmiennie „Profesorze”, choć był już naszym przyjacielem. Ten dziwny zwrot w drugiej osobie liczby mnogiej to, nie jedyna zresztą, pozostałość po czasach młodzieńczych i studenckich związkach z PPS-owską lewicą. Kunicki-Goldfinger przeszedł przez wiele organizacji lewicowych (ale nie komunistycznych), zanim, bodajże w roku 1939, doszedł do samej

PPS. Tam tak właśnie mówiło się do towarzyszy. Do końca życia zachował Profesor bliską znajomość z krakowskimi PPS-owcami, wciowcami i druhami ze Związku Niezależnego Młodzieży Socjalistycznej. Tej działalności politycznej i społecznej nie uprawiał ani dla chleba, ani dla godności, miał raczej z tego powodu same kłopoty. Pisał o sobie „pod względem politycznym byłem chronicznym i dziedzicznym dysydentem, nie mogłem dlatego dostać etatu na Uniwersytecie Jagiellońskim po ukończeniu studiów, w lutym 1939 roku”. Ale na atmosferę polityczną w konserwatywnym wówczas Krakowie nie narzekał. Przeciwnie, gdy miał poważne kłopoty, obronił go sławny botanik i rektor, a także endek - Władysław Szafer. Gdy chciano go usunąć z akademika, zapobiegł temu kurator Bratniaka, z pewnością nie PPS-owiec, Stanisław Pigoń - humanista, profesor literatury polskiej. W Krakowie, na Uniwersytecie, nie było zresztą haniebnej pamięci „pałkarzy” i gett ławkowych.

Z racji swych przekonań i aktywnej politycznej działalności Kunicki-Goldfinger mógł zostać na UJ tylko jako stypendysta Krakowskiej Izby Rzemieślniczej. Jako magister filozofii, absolwent Wydziału Filozoficznego, specjalizujący się w naukach przyrodniczych, na krótki czas został mikrobiologiem na Wydziale Rolniczym. Wojna zastała go we Lwowie. Był najpierw opiekunem w domu starców, potem zesłany został do gubernii archangielskiej. Po stalinowskiej amnestii, zamiast do Moskwy, gdzie był „zapraszany”, skierował swe kroki na południe, do Armii Polskiej.

Kierunki jego rozległych badań i poglądów w zakresie mikrobiologii interesować mogą przede wszystkim specjalistów. Ze względu na gwałtowny postęp tej i pokrewnych dziedzin nauk przyrodniczych, mają one już dziś znaczenie przede wszystkim historyczne. Ten los spotkał wielu, niegdyś znanych, a nawet sławnych przyrodników. Jak sądzę, Profesor nie lubił pracy laboratoryjnej, choć, oczywiście, doceniał wagę rzemiosła naukowego i owego gromadzenia obserwacji i szczegółów. Podstawowym celem nauki, jak pisał, nie jest zbieranie coraz większej liczby informacji o zjawiskach, lecz

szukanie i zauważanie kryjącej się poza nimi harmonii natury, a nawet piękna.

„Byłem przede wszystkim nauczycielem” - to słowa Profesora. Ta działalność obejmowała, obok podstawowych czynności nauczyciela akademickiego, także popularyzację wiedzy, pisanie książek naukowych, artykułów, udział w seminariach, w wielu towarzystwach, wywiady w radiu i telewizji, w gazetach. Ten fragment swej pracy nazywał „służbą”. Popularyzacja wiedzy, pisanie podręczników i książek, przyjmowanie zaproszeń na różne kursy, otwarte odczyty - nie wchodziły w zakres normalnych obowiązków większości profesorów. Zajęci badaniami, nie mają na to czasu. Kunicki-Goldfinger miał i czas i ochotę. Jeszcze w szpitalu umawiał się na udział w seminarium dla studentów z biologii molekularnej, na wykłady. A mnie przez telefon zapewniał: „ja was Zbyszku niedługo odwiedzę”. Studentów traktował w sposób wyjątkowy, jako ludzi dojrzałych, zdolnych do odpowiedzialnego życia. Powoływał się na mądrość Konfucjusza: „Młodych należy szanować, nie wiemy przecież, czy nie będą nam równi w przyszłości”.

Władysław Kunicki-Goldfinger miał twardy charakter: nie znosił kompromisów, wpadał w konflikty z ludźmi, nie zatajał nigdy swych poglądów - miał zapewne tyłuż przyjaciół, co ludzi mu nieprzychylnych. Był racjonalistą, co nie oznaczało, że wartości osiągnane przez postęp nauki i technologii uważał za najważniejsze. Przestrzegał przed mirażem społeczeństwa zniewolonego wynalazkami i coraz to nowymi maszynami. Widział i pokazywał także wartości moralne, ważniejsze od tych, które daje nauka. Ostrzegał przed uwikłaniem się ludzkości w niekontrolowany rozwój techniki i kryzys demograficzny. Głęboko przejęty był losem człowieka, przesiąknięty tym ideałem, który antyczni Grecy nazwali *philanthropia*, a Rzymianie - *humanitas*.

Odszedł człowiek, który w swym życiu przekraczał progi przeciętności. Spoczął w Lublinie, mieście swych młodzieńczych marzeń.

Z. A. Kwiatkowski